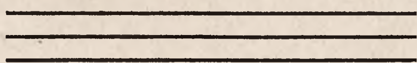
NUMER 2. DNIA 11-go STYCZNIA 1903 ROKU ROK XI

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.


Kaczkowski o sobie.



Wiadomo, że znakomitego powieściopisarza Zygmunta Kaczkowskiego spotkał w czasie powstania styczniowego straszny zarzut szpiegostwa na rzecz tajnej policji austrjackiej. Zarzut ten opierał się na kluczu alfabetu, wykupionego od policji wiedeńskiej, z którego odczytano nazwisko Kaczkowskiego, skreślone na bardzo kompromitującym skrawku papieru. — Z tego powodu sąd obywatelski, w skład którego między innymi wchodził znakomity prawnik śp. Dr. Kabat i Kornel Ujejski, potępił Zygmunta Kaczkowskiego. — Wyrok ten atakowano z różnych stron a sam Kaczkowski usunął się zupełnie od społeczeństwa polskiego.

Poniżej podajemy wyjątek z listu, pisanego dnia 8. stycznia 1875 przez Zygmunta Kaczkowskiego z Wiednia do jednego z obywateli lwowskich. Przesłano mianowicie Kaczkowskiemu listę do zbierania składek w pewnej sprawie narodowej, przeciwko czemu zaprotestował Kornel Ujejski. Kaczkowski odsyła listę składkową wraz z pismem o sobie, pełnem rozżalenia przeciwko Kornelowi Ujejskiemu w którem tak pisze:

...„O tem Panu to mogę powiedzieć, co całemu światu wiadomo: że ja byłem od ławy szkolnej przez kilkanaście lat w konspiracjach, w r. 1846 byłem tam, gdzie kule latały i krew potokami się lała... od r. 1846 do 1848 siedziałem w więzieniu i byłem na śmierć skazany — w r. 1848, mając lat ledwie 21, byłem prezesem rady narodowej sanockiej i organizatorem gwardji narodowej i wówczas poświęciłem na sprawy narodowe resztę majątku, niestraconego w r. 1846.

Przez rok następny musiałem się ukrywać przed prześladowaniem Rządu austrjackiego — przez następnych lat 10 pracowałem na polu nauk i literatury i napisałem 50 tomów, które teraz w powtórnem wychodzą wydaniu — a jak tylko w r. 1860 pierwsze ruchy się rozpoczęły w Galicji, znów z poświęceniem majątku i siebie samego, nawiązałem pierwsze stosunki z Paryżem i Warszawą i wystąpiłem do jawnego działania, za co znowu dostałem się do więzienia, gdzie po raz wtóry przesiedziałem dwa lata. Byłem tedy przez cały ten czas, dopóki siły były po temu — byłem przez całych lat dwadzieścia na polach i trudu i walki i pracy i poświęcenia.....

W dalszym ciągu pisze Kaczkowski, co następuje:

„Nie, Panie! tak się rzecz nie ma, jak ją p. Ujejski rozumie. Ja, lubo nie podzielam wielu zasad i dążności Rządu narodowego, uznawałem go jednak bezwyjątkowo i dzisiaj uznaję. P. Ujejski powołany do sądu przez Rząd narodowy, miał prawo mnie sądzić, bo sprawował wówczas urząd z ramienia władzy: ale p. Ujejski, jako człowiek prywatny, niema prawa orzekania, jaka jest moja wartość moralna i polityczna, bo nie jest do tego przez nikogo upoważniony...

. . . .

Chciej Pan pozdrowić odemnie Gillera, a komunikując mu list niniejszy, podziękować szczerze za moją obronę. Proszę zarazem przyjąć przyjacielskie pozdrowienie

od człowieka dobrej woli

Kaczkowski.



ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Legjony polskie*)

Pięknem było poświęcenie się wojsk polskich. Po rozbiorze nieszczęśliwej ojczyzny i po bezskutecznych usiłowaniach przywrócenia jej niepodległości, zebrały się pod dowództwem generała Dąbrowskiego i pod nazwą Legjonów Nadwiślańskich zmierzały ku Włochom, aby zerwać kilka liści wawrzynu i walczyć do ostatniego tchnienia za ukochaną ziemię, której dawną potęgę przyrzekał powrócić za cenę ich krwi wielki mąż owej chwili.

W piękny poranek majowy nieustraszeni ci wojownicy opuścili granice Polski; większa ich część nie miała już jej nigdy zobaczyć. Jaśniejące słońce zlewało na nich potoki światła: dzida kawalerzysty, szabla dragona, bagnet żołnierza pieszego i kaszkiet kirasjera połyskiwały w promieniach słonecznych. Było to zarazem i jakby zapowiedzią nieśmiertelnej chwały i jakby gorzkiem szyderstwem z boleści, rozdzierającej ich dusze w chwili pożegnania domowych ognisk, których płomień słodki oświecał niegdyś ich kołyski.

Otaczała ich dokoła obszerna równina piaszczysta, pokryta lasem jodłowym, którego ciemny koloryt podnosiła jeszcze świeża rosa wiosenna. Tuż obok nich wiła się rzeczka, w wodach jej przeglądały się wierzby płaczące; łzy zorzy porannej, opadające z liści, zraszały zielone jej brzegi. Wilgotna trawa rosła dokoła, chwiejąc się za najlżejszym podmuchem wiatru to w tę, to w ową stronę, kołysząc się miękko, to znowu zginając się ku ziemi, by za chwilę podnieść się wdzięcznie. W oddali rozciągające się pola uprawne stanowiły śmiejące się tło pięknej zieleni, ruń na nich porastała już bowiem bujnemi kępkami. Kilka, tu i ówdzie rozrzuconych wiosek, dopełniało obrazu; strzechy ich żółte i białe zagrody odbijały wdzięcznie od ram otaczających. W oddali połyskiwała w słońcu dzwonnica wiejskiego kościółka a konający odgłos dzwonów dolatywał do uszu żołnierzy: były to modlitwy pozostałych przyjaciół, towarzyszące im przy odjeździe. Sklepienie nieba zasiane było obłoczkami drobnemi, które zwolna okrążały słońce, przesłaniając zlekka świetny blask jego promieni.

Wojsko ustawione było we dwa szeregi puł-

*) Zapomniany ten utwór Zygmunta Krasińskiego, ogłoszony bezimiennie w Bibliothèque Universelle des sciences, belles-lettres et arts, rédigée a Genève 1830 — Tome II (Littérature) podajemy w przekładzie z francuskiego p. Wandy Daleckiej. Niechaj on będzie przypomnieniem sto ósmej rocznicy utworzenia legionów, która przypadała na dzień 9. b. m.

kami; każdy pułk dzielił się na bataljony, a każdy bataljon na kompanje. Oficerowie smutni i milczący stali wsparci na szablach na czele oddziałów. Oczekiwano dowódzcy a z nim rozkazu do wymarszu.

Posępna rezygnacja malowała się na wszystkich twarzach, począwszy od prostego żołnierza a kończąc na wodzach. Czasem, co prawda, nagła błyskawica uniesienia i nadziei, przelatując z szeregu do szeregu, ożywiała na chwilę te oczy, co już nieraz bez trwogi zmierzyły się ze śmiercią, ale wnet przygnębienie brało znowu przewagę. Mieli bowiem porzucić braci, rodziców, żony, a któryż z nich mógł się spodziewać, że ich kiedyś jeszcze do serca przyciśnie? Nie tylko ich życie, imię nawet zaginąć miało w dalekich krajach; ostatnie westchnienie nie będzie mogło zmieszać się z powietrzem ojczystem, spojrzenie ostatnie napróżno szukać będzie tego nieba, pod którem dla jednych z nich upłynęło dzieciństwo, dla wielu innych życia połowa. Żal im było za ukochaną ojczyzną, tak bogatą w kłosy, w zieloność pastwisk, tak piękną dawną swą chwałą, tak wielką wspomnieniami; za tą ziemią, zmieszaną z prochami przodków i bohaterów tylu, gdzie każde drzewo, roślina każda była przyjacielem ich lat dziecinnych, a każdy wymówiony wyraz przyśpieszał bicie ich serca. Mieli umrzeć zdala od niej, na ziemi obcej, w nieznanych okolicach, ale umrzeć za nią, a tego było dosyć, nic zatem nie mogło zniewolić ich do zawrócenia orłów i sztandarów z drogi ku południowi.

Nadjechał wreszcie wódz na dzielnym, stepowym rumaku, dumny, piękny odwagą męską. I rozkaz fatalny przebiegł armję z końca do końca. Wszystkie kolana ugięły się w jednej chwili a usta wszystkie wyszeptały krótką modlitwę. Po chwili czoła szlachetne pochyliły się niżej jeszcze; rycerze żegnali ziemię rodzinną, całując suchy pył jej piasków i długo, długo ust swych oderwać od niej nie mogli, jak kochanek żegnający ubóstwioną kochankę. Następnie każdy z nich wziął odrobinę tej ukochanej ziemi i złożył ją na piersi, jak kto mógł: oficerowie w medaljonach srebrnych lub złotych, inni w woreczkach z jedwabiu lub aksamitu, żołnierze wreszcie w szmatce płótna.

I wtedy dopiero pozostali wszyscy milczący, ze łzami w oczach. Chwilę jeszcze stali nieruchomi, jakby nie mogąc się wyrwać z objęć wspólnej ukochanej matki; wreszcie drgnęła kolumna cała i rozpoczęto pochód krokiem miarowym. Ozwały się trąby, zagrzmiały bębny, sztandary rozwinęły się w powietrzu i każdy z wojaków z nową energją ku nowym porwał się zapasom. Chwila żalu, chwila słabości już przeszła. Żegnali wprawdzie ojczyznę i braci, ale to właśnie za nią i za nich walczyć mieli, i jeżeli nie mogli szczęścia im wrócić, to przynajmniej ostatnim odbłyskiem chwały opromienić chcieli ciemny grób ukochanej Polski. I myśl ta pokrzepiła ich siły, obudziła na nowo odwagę i nadzieję; pieśń wojenna popłynęła w powietrze, w oczach zabłysnął zwykły im ogień. Była to pieśń męczenników. Tak się rozpoczął ów pochód uciążliwy, długi i niebezpieczeństw pełny.

* * *

Włochy rozlegały się chwałą ich czynów wojennych. Z pod popiołów przed wiekami zagasłej wolności odgrzebywali oni drobne jej iskierki, aby je przenieść kiedyś na ziemię rodzinną i rozpalić w płomień niewygasły. Wysiłki ich pozostały bezowocne; stanowią jednak pociechę najwyższą i będą na wieki wspomnieniem nieśmiertelnej chwały. Od rzeki Po aż po brzegi Tybru rozlegał się odgłos bohaterskiego ich pochodu; groby Scypionów i Cezarów widziały ich przyjście. Most Arcole ugiął się pod ciężarem ich broni, gdy się rzucili w ślad za zwycięskim sztandarem, który powiewać będzie długo pod tchnieniem uwielbienia wieków. Fale Trebji zmieszały się z ich krwią szlachetną, a wieże Wenecji połyskiwały w odblaskach ich oręża. Na szczycie Kapitolu zatknęli chorągwie i miasto wieczne powtarzało okrzyki ich trymfu. Jak wicher przemknęli przez starożytną Auzonję; niebo Neapolu uśmiechało się nad ich głowami, płomień Wezuwiusza obok nich wybuchał. Tymczasem liczba ich zmniejszała się z dnia na dzień, z bitwy do bitwy, z jednego pochodu do drugiego. Krzyże ich mogił świecą blaskiem nieśmiertelnym nad wodami Anio i na słodkich brzegach Sorrento, na czarnych Apenin łąkach i ponad Adrjatykiem, co każdą falą, uderzającą o skały, zdaje się szemrać modlitwę za umarłych i na wybrzeżu Śródziemnego morza, którego milczące obszary są ich spoczynku wyrazem. Nie szczędząc życia, ani odwagi, wieńcząc czoła laurami zwycięstw, polegli bez skargi na ustach, bez słowa żalu. Tysiące ich silnych i odważnych wyruszyło do Włoch, kilku zaledwie wróciło do kraju, inni

śpią snem wiecznym w stronach dalekich z piersią, przeszytą ciosem śmiertelnym, a obok nich szabla, ów oręż, siejący postrach, co się wymknął z uścisku ich dłoni wówczas tylko, gdy dłoń ta skrzepła na wieki.

* * *

Po wielu latach w piękny dzień wiosenny człowiek jakiś zbliżał się do Polski. Odzież jego była w łachmanach. Szedł z trudem. Kask żołnierski, podziurawiony kulami, przykrywał białe jego włosy. Resztki munduru, na którym błyszczały jeszcze gdzieniegdzie barwy narodowe, ściskały postać jego silną, lecz już nieco pochyloną. Epolety, przyćmione prochem bitew, tkwiły na ramionach; dwa krzyże, których emalję starł ołów zabójczy, spoczywały na jego piersi, a szabla była u boku. Ona tylko była niezmieniona, ona i serce tego, co ją nosił. Przybył do granicy. Chwilę zdawało mu się, że zmylił drogę; lecz nie: oto właśnie ta sama piaszczysta równina, porosła jodłą i rzeka dalej i dokoła te same łany zboża i wieże kościółka w dali. Odkąd ostatnie przesłał im wejrzenie pożegnania, inne kraje, inne zwyczaje, inni ludzie go otaczali; końcem swej szabli torował sobie drogę przez całą niemal Europę; ale wszędzie, między piramidami starego Egiptu, pod cieniem bananów w San Domingo, na szczytach Sierra-Morena, wśród tajemniczych zakrętów Alhambry, na uroczych brzegach Renu, pomiędzy mirtami i pomarańczami wzgórzy włoskich, wśród gwaru miast wielkich i ciszy ponurej pól, wśród rzezi nawet, gdy śmierć dokonywała swego dzieła — marzył o równinach ojczyzny i pragnął raz jeszcze je zobaczyć. A teraz, kiedy to pragnienie jego serca, ta wizja snów jego, to życzenie całego życia, pełnego wstrząśnień i wzruszeń, ziściło się nareszcie, w jakimże stanie znajduje tę ziemię swoją... Cały wiek młody przebył w obozach i w pośród niebezpieczeństw tylu; później poświęcił odpoczynek swój i życia ostatek staraniom o powrót do kraju w nadziei, że go odnajdzie dawnym i wspaniałym, jak za pięknych dni chwały. A teraz trzeba mu będzie, wróciwszy pod dach ojczysty słuchać wzdychania, wyrzutów, skarg i płaczów żałoby i nie będzie mógł umrzeć szczęśliwy, bo tak długo pieszczona nadzieja zagasła!

Ze smutkiem w duszy przeszedł te miejsca, które porzucił w młodości w ów śliczny majowy poranek, a gdy już był daleko od oczu ludzkich, wciągnął całą piersią rodzinne powietrze i powietrze to wywołało w pamięci jego wspomnienia dzieciństwa, pieszczoty matki, śpiewy piastunki, błogosławieństwo chorego ojca i łza stoczyła mu się z powieki, tej powieki, która nigdy dotąd w żadnem niebezpieczeństwie nie drgnęła. Popatrzył jeszcze, czy go kto nie widzi, potem sięgnął ręką w zanadrze i wyjął małe zawiniątko; przycisnął do ust, otworzył i żółty kurz poleciał około niego i upadł na piasek.

„Ziemio Polski, wróć do swej matki“ — rzekł stary wojak. „Niosłem cię przez świat cały złożoną na mem sercu, teraz oddaję cię, skąd wziąłem“.

Westchnął i zwracając w niebo rzewne spojrzenie, poszedł dalej w głąb lasu, znaną niegdyś drogą.



Nieco o mej wiosce rodzinnej!

Wioska Gręboszów leży o 3 kilometry od ujścia Dunajca do Wisły, na prawym brzegu Dunajca w powiecie dąbrowskim. Posiada dwór liczący przeszło 300 hekt, dobrej nadwiślańskiej gleby, i około 90 Nr. domów, które mają 238 h. ziemi.

Ludność liczy około 600 dusz, między któremi coś koło 15 żydów a reszta katolicy, tylko na nieszczęście ludowcy.

Wieś ta należała niegdyś do rodziny Burzyńskich, Dembińskich, Krasińskich, Wodzickich, Przerembskich, Załuskich, a obecnie należy do

wnuki generała Józefa hr. Załuskiego, która wyszła za mąż za Hektora hr. Kwileckiego w Poznańskiem.



Kościół w Gręboszowie.

Za czasów pańszczyźnianych należało do tego dworu 36 poddanych, którzy, po redukcji pańszczyzny z 211 morgów i 316 sąż. musieli robić pańszczyzny 2768 dni rocznie, a którą to robociznę wraz z przędziwem oszacowano na sumę 731 złr. 11 kr. w. a.

Pańszczyzna dworska była ciężka, toć za dzierżawcy Rydla grubsi gospodarze w nocy potajemnie wynieśli się za Wisłę do Królestwa polskiego a ekonom, przyszedłszy rano po chłopów na pańskie, zastał tylko próżne domy. To mogło być na początku 19 wieku.

Na miejsce zbiegłych chłopów przyszli z Królestwa inni, wskutek tego więcej, niż połowa ludności w Gręboszowie, pochodzi z Królestwa.

Gruntów atoli, pozostałych po zbiegłych gospodarzach, wszystkim nowym nie dano i ztąd jest sporo gruntów dworskich, które się po dziś dzień „pustkami“ zowią.

Kościoł już chyba od bardzo dawnych czasów był w Grębosżowie, bo uczony Theiner wspomina w swem dziele, że w roku 1326 Dominik, pleban kościoła gręboszowskiego, na dniu 2. marca, tak średnią obecnej dziesięciny, jak też dziesiątej części dziesięciny rocznie sold. II. szkockich*) i 21. weneckich po wieczne czasy świętopietrza płacić ma**).

Tenże uczony, mówiąc o tem, pisze raz „Grabssów“, a w drugiem miejscu „Grabassów“. Po tylu wiekach nazwa ta uległa zmianie. I ongi pisali „Gremboszów“ a obecnie „Grębosżów“.

Gdzie stał pierwotny kościół w Grębosżowie, nie ma o tem nigdzie wzmianki. Jest tradycja, że miał być za cmentarzem na północ, ale przypuszczać należy, że świątyńka drewniana stała tu, gdzie obecny kościół stoi.

Gruntu, około stu morgów pysznej ziemi, na utrzymanie plebana i dwóch wikarych, zapisała kościołowi tutejszemu Konstancja na Mirowie Burzyńska, starościna brzeźnicka i dobczycka. Zapis ten uczyniony był r. 1599. w Korczynie, a r. 1600. zatwierdzony przez Bernarda Maciejowskiego, kardynała i biskupa krakowskiego. W archiwum parafialnem oryginał jest w bardzo dobrym stanie zachowany.

Wnuk Konstancji, Franciszek Dembiński r. 1650. wymurował obecny kościół, który dziś należy do najwspanialszych świątyń na Powislu. Powszechne jest mniemanie, że cegły na budowę dostarczył pałac w Grębosżowie, tegoż dziedzica,



Pomnik generała Załuskiego.

*) Może skojców (Przyp. aut.)

**) Liber rationis super. denario B. Petriæ. ab anno MCCCIX. usque ad annum MCCCXXVII. Theiner.

zwany „zamkiem“, a stojący tu, gdzie dziś zabudowania dworskie, za czem przemawia dużo starych murów głęboko, w ziemi będących i pole, które się do dziś „zamczyną“ mianuje. Kościół ten murowany był za czasów proboszcza Melchiora Mączyńskiego, a konsekrował go r. 1675. Mikołaj Oborski, sufragan krakowski.

Przed ks. Mączyńskim znani są w księgach kościelnych ledwo trzej księża plebani, mianowicie ks. Wojciech Kaprycjusz, Błażej Politek i Maciej Wojciszewicz a z Theinera się dowiadujemy jeszcze i o ks. Dominiku.

Przy obecnym kościele byli następujący proboszczowie: ks. M. Mączyński, Baltazar Przyrembski, Wojciech Gorski, Władysław, Kazimierz i Andrzej Ruszkowscy, Stanisław Czapieżyński, Marcin Ankiewicz, Jan Kromkaj, Józef Surdijowski, Wojciech Kalatowicz, ks. Henryk Otowski i obecny ks. Fr. Kahl.

Wikarych zaś było dotąd przeszło 90.

Probostwo w Gręboszowie za czasów pańszczyźnianych miało jeszcze 13 poddanych, którzy posiadając po 60 morgów i 853 sąg. musieli robić probostwu rocznie 1547 dni, co było szacowane razem z przędziwem na 159 złr. 57 kr. Jak tradycja niesie, pańszczyzna plebańska była dużo lekszą od dworskiej.



Chata posła Bojki.

W wielkim ołtarzu był do r. 1889, obraz stary M. Boskiej, który dzisiaj gnije w wozowni plebańskiej. Obecnie jest statua kamienna roboty ś. p. Ludwika Otowskiego, a po boku ś. ś. Apostołowie Piotr i Paweł tegoż dłuta.



Gręboszowianka w stroju, noszonym przez dziewczęta.

W r. 1863, wybudowano kaplicę św. Anny, podwyższono wieżę o $1\frac{1}{2}$ piętra, sprawiono piękny dzwon i okolono sztachetami kościół, do czego przyłożył starania ks. Otowski, a generał Załuski i parafjanie pieniędzy i pracy. Gdy w r. 1866 umarł Załuski, żona jego Zofja z Przerembskich dała materjał na północną kaplicę św. Józefa, a parafja siły ręcznej i ciągłej.

Taż hrabina zbudowała nad grobem swego męża piękny pomnik, który wykonał Michał Korpal, znany rzeźbiarz krakowski, podług modelu Ludwika Otowskiego.

Na dwóch leżących lirach, wyrobiona jest postać ś. p. generała Załuskiego w postaci takiej, jak Skrzyneckiego w Krakowie, w mundurze generała polskiego z mapą królestwa polskiego i szablą, leżącą przy nim.

Piszący znał ś. p. generała, toż zeznaje, że pomnik wiernie trafiony.

W r. 1871—1873 wybudowano drugą połowę presbyterjum; kościoł liczy długości przeszło 32 metrów a szerokości przeszło 19 m.

Za obecnego proboszcza w drodze składek (forsownie od parafjan ściąganych) odmalował kościół Adolf Gucwa, malarz z Tarnowa, dosyć ozdobnie, choć nietrwało.

Po ścianach kościoła mają swoje tablice pamiątkowe: Franciszek Dembiński, fundator, Łucja

Ryszkowska (wierszem), Wodziccy, Przerembscy, Załuscy, Otowska (matka byłego plebana), i Antoni Zielonka, mąż wielce zasłużony przy budowie szkoły Gręboszowskiej.

Kościoł ten posiadał dawniej z srebra monstrancję, puszkę na Najśw. Sakrament i oleje św., dwa krzyże, lampę, trybularz, łódkę i łyżeczkę srebrną, ale to rząd zabrał.

Dekanat do r. 1772. był w Opatowcu, do którego to czasu należały do Gręboszowskiej parafji: Gręboszów, Wola Gręboszowską, Karsy, Lubiczko, Zapasternicze i Zalipie.

Po rozbiorze Polski, wsie: Borusowę, Hubenice, Kozłów, Biskupice i Zawierzbie, które należały do Nowego miasta Korczyna, Bieniuszowice, Pałuszyce i Ujście jezuickie, które przedtem należały do Opatowca w Królestwie, przyłączono do parafji Gręboszowskiej.

Szkołę pierwotną zaprowadził w Gręboszowie w r. 1848 ś. p. X. Jan Krawczyński, wikary, a uczył w niej niejaki Oraczewski, potem uczył do r. 1873 ś. p. Marceli Stohandel, urodzony góral z Chochołowa, człek wielkiej zdolności i poświęcenia. Z jego to szkoły wyszła młodzież ta, która sobie zaskarbiła tyle nienawiści, szczególnie u stanu duchownego — dla tego, że są ludowcami. Po nim uczył jakiś czas J. Prelich, po nim St. Kaniowski, o którym pamięć jeszcze piękniejsza u ludu została, niż po Stohandlu, a którego delikatnie przeniesiono za to, że chłopów po pysku nie bił, ale ich uważał za braci. Obecny Gądkiewicz, tą samą drogą krocząc, nie cieszy się łaską przełożonych.

Kroniki kościelne są szczupłe i nie zbyt ciekawe. Jedynie piszący w księdze pamiątkowej omalowany jest czarną farbą, jako buntownik i wróg kościoła — przez poprzedniego plebana, a jest nadzieja, że i obecny ks. Kahl, syn kolonisty niemieckiego, pewno czernidła na mnie żałować nie będzie. A niech sobie użyją!

Pamiątek starych, mogił itp. nie ma ani w Gręboszowie, ani w okolicy.

Kilka figur na cmentarzu jest z r. 1717 i nowszych, a sam cmentarz założony dopiero r. 1799.

W sąsiedniej wiosce Biskupicach są okopy, które r. 1849 usypali Moskale, wracając tędy z Węgier, a których przy tej pracy kilku zmarło. Było ich w owym czasie mnóstwo na kwaterach tak w Gręboszowie, jak i w okolicznych wioskach.

Monety wyorują na polach z czasów Jana Kazimierza, Sobieskiego, oraz dukaty związkowe z r. 1780, a jedynie na polu dworskiem. tuż przy cmentarzu, chłop, kopiąc rów, wykopał monętę z czasów Trajana, a potem też rzymską znaleźli ludzie, kopiąc cykorję. Obie te monety mam u siebie.

Lud w Gręboszowie umie czytać i pisać, a że gruntu ma nie wiele, do zamożnych się nie zalicza, lecz gospodaruje nieostatnio. Jest pracowity i trzeźwy, a zauważyłem, że rodzima ludność tutejsza jest ociężalsza i ciemniejsza od ludności napływowej.

Na zarobek do Saksów i Ameryki wyjeżdża rocznie do 60 ludzi z Gręboszowa.

Gmina nie posiada gruntów żadnych, potrzeby swoje pokrywa dodatkami.

Hasło rzezi w r. 1846 nie znalazło tu posłuchu, co na pochwałę naszych ojców zaznaczam.

Stosunki z dworem a gminą są bardzo dobre a zarobki we dworze i gdzieindziej dosyć dobre.

Jedyną wadą Gręboszowian jest to, że są ludowcami przeważnie, co jest powodem, że stosunki z plebanją są naprężone a ks. biskup Wałęga przy ostatniej wizytacji jeszcze je bardziej zaostrzył.

Mimo walki politycznej, jaka wre w Gręboszowie od r. 1891, miło jest człekowi krająć skibę rodzinną. Dzwony z kościoła Opatowieckiego, Korczyńskie, Rogowskie z Królestwa, i nasze Gręboszowskie rozbrzmiewają cudowną melodją ponad modrą Wisełką a skowronek, unosząc się pod stropem nieba, krzepi człeka nadzieją lepszej przyszłości, że ten sam Bóg, który tyle wieków opiekował się polskim ludem i w Gręboszowie da siłę do wytrzymania niesłusznych ataków — a chłop chłopem zostanie, a zostanie chłopem polskim, kochającym swój kraj, swego Boga, i swoją wioskę rodzinną.

J. Bojko.



Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Knajpa,* dramat w 3 aktach przez Zenona Parvi'ego, z przedmową Gabrjeli Zapolskiej i portretem autora według rysunku St. Wyspiańskiego. Kraków 1903. Mimo wcale prymitywnej roboty i efektów scenicznych, jest ten dramat jednak wstrząsający aktualnością tematu i tendencją. — Orgia szynkowa, — a za nią nędza wygląda, upadek, nieszczęście rodzin i wszystkie straszne skutki alkoholizmu, których opisywać nawet nie potrzeba, tak są znane, tak bardzo codzienne. Średnio zamożny urzędnik, który rodzinę swoją do ostatniej nędzy doprowadza, sam coraz niżej się staczając, kasjer-defraudant, męty i szumowiny społeczne — wszystko to zgromadził autor i związał w dramat o tendencji szlachetnej i pięknej, która i u nas przyjmować się powoli poczyna dzięki pracy, na razie tylko jednostek dobrej woli. — A czego książka, ani rozumowany artykuł dokonać nie zdoła, to zrobi dramat taki, jak Parvi'ego, byle by go tylko wystawiano często, na wszystkich scenach, gdzie się po temu nadarzy sposobność. Do walki z alkoholizmem użyć potrzeba wszelkich środków — bo coraz więcej życia i wiary i siły tonie w kieliszku wódki i w tumanach dymu szynkowego.

Józef Świtkowski. *Fotografia praktyczna w zarysie,* do użytku amatorów. Lwów 1903.

Pod tym tytułem wyszło świeżo z druku dziełko w wygodnych rozmiarach, napisane przez autora, dotychczas nieznanego na tem polu, na którem każdą bez wyjątku książkę oryginalną, nie tłumaczoną, witać należy przychylnie, cała bowiem literatura polska w dziedzinie fotografji liczy zaledwie kilkanaście dzieł.

Książka, o której mówimy, napisana jest stylem łatwym, jasnym i — jakkolwiek wymaga od czytelnika pewnych podstawowych najniezbędniejszych wiadomości w dziedzinie fotografji amatorskiej — to jednak unika szczęśliwie suchego rozstrząsania poszczególnych kwestji, kładąc odpowiednio do swego tytułu na praktyczną stronę główny nacisk. Daje ona amatorowi obfity zapas rad, wskazówek, objaśnień i przepisów, nieraz wprost nieocenionych w praktycznej pracy. Podnieść należy przejrzysty układ książki podzielonej na dwadzieścia dużych rozdziałów, z których nęcący dla wielu jest zwłaszcza ostatni, traktujący „o fotografjach w rzeczywistych barwach“. Uznania godne są także n. p. ustępy o retuszu, o fotografowaniu osób i krajobrazów, a zwłaszcza nacisk, jaki autor kładzie na artystyczną stronę fotografji. Obfita liczba rycin przyczynia się do uplastycznienia rzeczy, jakkolwiek dobór rycin nie wszędzie nazwać można zupełnie szczęśliwym. Ta jednak, jak i inne drobne usterki, nie obniżają wartości książki, której zalety mówią same za siebie. *Wł. Kwiatkiewicz.*

SZTUKA. *Obrazy Jacka Malczewskiego.* Rzadką sposobność nastręczyło nam niedawno temu T. P. S. P., mianowicie sposobność oglądania dwu wybitnych dzieł pendzla Jacka Malczewskiego, tego wielkiego malarza-poety, który dziś bezsprzecznie jest obok Chełmońskiego największym naszym malarzem a według wielu i największym naszym poetą współczesnym. Ten niezrównany mistrz-rysownik, który często umie także być świetnym kolorystą, jako poeta — jest na wskróś i w prawdziwem tego słowa znaczeniu narodowym. Mistrzowski aż do najdrobniejszych szczegółów realizm formy zespala się u niego przedziwnie z głębokim symboliczno-alegorycznym idealizmem koncepcji, która stale obraca się w „Błędnem kole“ narodowego bólu. Zespolenie to choć niezawsze organiczne, gdyż daje niekiedy przewagę alegorji nad symbolem, jest jednak na wskróś indywidualne i zwłaszcza w ostatniej dobie twórczości mistrza, dało szereg dzieł zupełnie oryginalnych, potężnych i przebolesnych poematów narodowych. Z tej to ostatniej epoki pochodzą także dwa do niedawna w „Salonie“ naszym wystawione obrazy p. t. „Sakrament Śmierci“ i „Powrót Tobiasza“. Drugi z nich, mniejszy, jako symbol trudny dziś jeszcze jest do zrozumienia, może być zresztą uważany tylko za ilustrację znanego biblijnego tekstu. Działa on głównie kontrastem odmiennych zupełnie wyrazów głów obu młodych chłopców: starszego skupionego w sobie i spokojnego przewodnika-opiekuna, i młodszego jego towarzysza, którego twarzyczka cała jest samą wrażliwością, ciekawością życia i trwogą przed niem zarazem. „Sakrament śmierci“ tłumaczy się zupełnie jasno i pozostaje w ścisłym związku z szeregiem poprzednich, pokrewnych mu ideowo prac Malczewskiego. Ta śmierć w postaci przepięknej, w grecki strój przyodzianej niewiasty, która w noc miesięczną na tle obejścia szlacheckiego dworku kładzie dłoń na oczach klęczącego przed nią starca, uznojoną duszę dotknięciem tem z ciała jego dobywając — to śmierć-Los, Fatum ale zarazem i Śmierć-Litość, Ukojenie, kres męki. A ten starzec — to nasz dobry znajomy, Polak-Tułacz, może ten sam, który płakał u łoża śmiertelnego białej Ellenai a potem klęczał rozmodlony w minach sybirskich... Staje się przed tym poematem w milczeniu głębokiem i czuje do wnętrza cicho spływające łzy gorzkie, łzy bólu i męki współczesnej duszy polskiej. I nawet zapomina się o stronie malarskiej tego dzieła, do tego stopnia jest ona w niem mistrzowska — pod każdym względem i do tego stopnia, jak w każdem wielkiem dziele sztuki, jest tylko — środkiem do celu. *A. C.*



Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8